

ZOFIA WEISER ur. 1918; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Tradycje rodzinne
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin ślub małżeństwo wesele żydowskie tradycje rodzinne rozrywki przysmaki

Tradycje rodzinne

W domu moim przyjmowało się co tydzień gości. W sobotę tata zamykał sklep i czynił to głównie ze względu na szacunek dla dziadków, którzy byli religijnymi ludźmi. Sklep zamykało się w piątek po południu i otwierało ponownie w sobotę wieczorem. W piątek wieczorem rodzice urządzali uroczystą kolację dla gości. Nie była to typowa kolacja na ciepło - podawało się wtedy rybę po żydowsku, jakieś sałatki i kompoty, a na deser ciasta i kawę. Tę kawę pamiętam specjalnie, bo pijano ją tylko w piątki wieczorem. W ciągu tygodnia piło się herbatę. Oczywiście, mnie jako dziecku nie pozwalano pić kawy. Kawa przed wojną była wielkim delikatesem. Z tego, co pamiętam, w czasie tych spotkań jadało się mizerię, która wtedy uchodziła za sałatkę. Jadło się także rzodkiewki. Natomiast nie pamiętam, żeby jadano zieloną sałatę. Pomarańcze pamiętam doskonale, ale były one drogie. Nie pamiętam zaś bananów. W moim domu jadało się także czerwone jabłka amerykańskie. Były bardzo drogie i bardzo czerwone. Podobno miały być też lepsze od polskich, ale ja dzisiaj myślę, że ich kupowanie to był taki rodzaj snobizmu.

Jeżeli chodzi o gości, to przychodzili do nas zaprzyjaźnieni kupcy żydowscy, lekarze - bardzo częstym gościem był ginekolog, dr Lewin, zaprzyjaźniony z moimi rodzicami. Bywali także nasi komiwojażerzy. Firma moich rodziców zatrudniała takich agentów, którzy z towarami i próbkami jeździli po Polsce. Gdy przyjeżdżali do Lublina zawsze mieli u nas przygotowaną gościnę - był pokój gościnny i służące czekały na nich z posiłkiem. Z Polaków, którzy przychodzili do moich rodziców w gości, pamiętam jedynie państwa Miłosiów. Oprócz nich nie widzę nikogo z Polaków w mojej pamięci, którzy byliby bardzo zaprzyjaźnieni z naszą rodziną. Mieliśmy także zaprzyjaźnionego sąsiada Żyda. Był nim Efraim Krasucki, człowiek pochodzący ze znanej lubelskiej rodziny. Gdy na Sukkot robił kuczki, zapraszał do nich też mojego ojca.

Wizyty gości w naszym domu, specjalnie organizowane, były w piątki. Rodzice byli wtedy po pracy. Obydwoje rodzice bardzo ciężko pracowali w sklepie. Tata oprócz tego jeździł po towar do Warszawy, Białegostoku, a nawet do Czechosłowacji. Stąd też, gdy w piątek po południu zamykał sklep, to znaczyło to, że zaczynało się święto i mieli wolny wieczór. W te piątkowe wieczory przychodzili goście, a w sobotę się odpoczywało. Można było dłużej pospać. Goście rozmawiali przeważnie po polsku. Czasami jedynie po żydowsku, zwłaszcza wtedy, gdy

opowiadali sobie jakieś żydowskie dowcipy.

Z moim zamążpójściem było podobnie, jak z kierunkiem wykształcenia. Zdecydowali o tym moi rodzice bo taki był zwyczaj. Wszystko odbywało się za moimi plecami. Zostałam wyswatana z Dawidem Bachem, bratankiem znanego adwokata lubelskiego Arona Bacha. Ten ślub został mi narzucony. Taka była wola moich rodziców. Co prawda, Dawid Bach był we mnie bardzo zakochany, wręcz do szaleństwa. Gdy przysyłał do mnie listy, to pisał je własną krwią, co mnie irytowało i zniechęcało do niego, natomiast było bardzo romantycznym gestem dla moich koleżanek. Ja musiałam się do niego przekonać. Moja mama poradziła Dawidowi, żeby udał się ze mną na studia do Belgii, do tej samej szkoły. Studia w Belgii miały trwać trzy lata, a ostatni rok wraz z dyplomem inżyniera garbarstwa robiło się już we Francji, w Lyonie, gdzie była specjalistyczna szkoła wyższego stopnia. Tak miały wyglądać nasze studia. Dawid Bach już wcześniej trochę studiował. Chciał być początkowo prawnikiem, ale tak na prawdę nie wiedział za bardzo, co ma studiować. Dopiero moja mama zaczęła mu doradzać, bo przecież rodzice planowali budowę garbarni na Kalinowszczyźnie. W trakcie studiów mój mąż odbywał nawet staż w garbarni Brykmana na Kalinowszczyźnie, a moi rodzice śmiali się, że niedługo będziemy konkurencją dla Brykmana.

Rodzina Bachów była bardzo znana w Lublinie. Pochodzili bodajże z Kowla na Wołyniu. Uchodzili za na tyle poważną rodzinę, że swatki z propozycją wydania mnie za Dawida przychodziły do mojej mamy. Tu trzeba podkreślić, że w mniejszym stopniu zwracano uwagę na zamożność, a liczyło się to, że Bachowie to rodzina kulturalna i wykształcona. Tak było chociażby z panią Anną Bachową, żoną adwokata Bacha. Była to dumna i wyniosła kobieta, w typie chłodna. Pochodziła ze znanej, ale dość ubogiej rodziny, ale to, że rodzina jej była zbiedniała nie było żadnym wstydem.

O moim małżeństwie zdecydowała głównie moja mama. Decyzję całkowicie pozostawił jej ojciec, który uważał, że są to typowo kobiece sprawy. Poza tym obawiał się jak ja na to wszystko zareaguję i wiedział, że mama lepiej mnie do tego przygotuje. Z tego, co ja wiem, w przypadku mojego ślubu nie chodziło o kwestię posagu. Moim posagiem było moje wykształcenie - przecież nasi rodzice wydawali bardzo dużo pieniędzy na nasze szkoły, a poza tym rodzice byli zdecydowani na budowę garbarni.

Mój ślub nie był bardzo tradycyjny. Nie było na to czasu. Z pewnością nie byłam przed ślubem w mykwie. Ślub i wesele zorganizowane były w wielkim pośpiechu, ponieważ w tym samym czasie przygotowywaliśmy się do wyjazdu do Belgii i trzeba było skompletować wszystkie dokumenty. Mój tata jeździł do Warszawy po paszporty, bo tego typu dokumenty załatwiano się jedynie w Warszawie. Musiał też zdobyć zezwolenie na przesyłanie pieniędzy. Stąd też wynikał ten cały pośpiech, a było uzgodnione, że mamy wyjechać z Dawidem już jako małżeństwo. On nie chciał jechać beze mnie. Powtarzał, że coś sobie zrobi, jeżeli nie będziemy razem. Wesele odbyło się w domu. Gości nie było wielu, tylko rodzina. Pamiętam, że do domu przyszedł rabin, który udzielił nam jednocześnie ślubu religijnego i cywilnego. Rodzice wyjechali z nami do Warszawy, żeby nas odprowadzić na pociąg. Był to już rok 1938 i już mówiło się o wojnie. Zresztą o wojnie raz po raz dyskutowało się od momentu dojścia Hitlera do władzy, czyli od 1933-1934 roku. Pamiętam, że wtedy w Warszawie, na dworcu, moja mama zdjęła z siebie biżuterię i mi oddała, mówiąc, że to na wszelki wypadek, gdyby miało się coś wydarzyć, żebym miała jakieś zabezpieczenie. Dostałam także od rodziców dolary oraz trzy futra, które potem miałam w czasie wojny we Francji. Ja oczywiście dziwiłam się, nie chciałam brać. Nie myślałam wtedy o wojnie.

Data i miejsce nagrania	2001-12-01, Lublin
Rozmawiał/a	Robert Kuwałek
Transkrypcja	Robert Kuwałek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"